

Rok IV.
Kraków, d. 9 października 1910 r.
Nr. 41.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1.
Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

„Babskie lato“.

Opowiadają starzy ludzie, że za dawnych czasów i w naszym kraju trwało lato znacznie dłużej niż dziś. Przyjemne ciepło, a nieraz i gorąco przeciągało się aż poza świętego Michała i Matkę Boską Różańcową, poczem dopiero zaczynały się chłody i słoty jesienne. Ale ludzie są ludźmi i nikt im nigdy zupełnie nie dogodzi!

Pewnego roku w początkach października były jeszcze wielkie upały, więc ludzie zaczęli srodze narzekać, że one im wielce dokuczają. Rozgniewał się tedy Pan Bóg i tak rozporządził, iż odtąd kraj ich nie miał się cieszyć nigdy długiem latem, a od św. Hanki miały być »chłodne wieczory i ranki«.

Po niewczasie poznali ludzie, że źle zrobili, narzekając na upały. Kiedy więc powtarzało się rok po roku, że lato uciekało od nas jeszcze przed końcem sierpnia, poczęli ludzie prosić Maryi Panny, aby Ona wstawiła się za nimi do Boga i wyprosiła dla nich choć kilka dni pięknej pogody. Szczególniej błagały o to wszelkie »baby«, jako że każda niewiasta do próśb jest skłonniejsza.

Wysłuchał tedy Pan Bóg próśb ludzi i odtąd zsyła co jesień kilka dni pięknej pogody. Na tę pamiątkę, że »baby« je wyprosiły, nazywamy te dni »babskiem latem«.

Czasem »babskie lato« trwa zaledwie kilka dni, ale kiedy indziej przeciąga się ono bardzo długo, a dopiero »św. Marcin przyjeżdża na białym koniu«.

Podczas »babskiego lata« ciągną ludzie wróżby co do surowości przyszłej zimy, zależnie od tego, czy nici pajęcze unoszą się wyżej, czy niżej; wcześniej czy później.

Powstawanie tych białych nici tłumaczą sobie ludzie w rozmaity sposób. Niektórzy powiadają, że N. Panna Marya przechodzi przez wioskę niepostrzeżenie wśród chłodu i deszczu. Wtem zauważy w którejś chacie niewiastę młodą i niedoświadczoną jeszcze w sprawach wychowania dzieci, która nie może sobie poradzić ze swym synaczkiem. Najświętsza Panienka przypomina sobie żywo, jak to sama piastowała Dzieciątko i przychodzi w pomoc.

W tejże chwili wyziera słońce z za chmur, grzeje ciepło; jak wśród lata i robi się naraz śliczna pogoda. Młoda wieśniaczka wynosi na dwór, przed próg chaty, płaczące dziecko, które, uspokojone, zaczyna bawić się widokiem unoszących się białych nici pajęczych, które rzuciła Panna Marya w tę stronę ze swego wrzeciona. A jaskółki na widok pajęczyny babskiego lata uciekają podobno co tchu z naszego kraju, zdaje się im bowiem, że musiały się zapóźnić z odlotem.

Za dawnych czasów polska jesień słynęła zawsze z niezwykle pięknej pogody i do dziś dnia najwięcej podań jesiennych opowiada nam bajki o babskiem latku, jakiem po chłodzie i słocie cieszyli się ojcowie nasi.

Jedno z tych podań wspomina Wandę, córkę Krakusa, która, dowiedziawszy się o napadzie na kraj niemieckich srogich rycerzy, za podszeptem starego czarownika, kazała wszystkim babom wyjść z kądzielą przed chaty i prząść nici białe na dworze, mimo, że była już wówczas jesień chłodna i wietrzna.

Gdzie tylko zjawili się rycerze niemieccy, uciekali po chwili ze strachu przed czarami babskiemi, za jakie uważali przędzenie nici. Uciekli tedy Niemcy, nastał spokój w chatach polskich, nad któremi słońce długo jeszcze i jasno grzało, zapanowała radość powszechna. Twierdzono, iż gdyby czarny rycerz niemiecki zawojował był ziemię polską, nastałaby w niej jesień wieczna, a wraz z nią długa i straszna niewola.

Nie wiedziano wówczas jeszcze, że nici miłości usidliły niemieckiego rycerza, który, rozgorzawszy tą miłością ku pięknej Wandzie, wrócił następnego lata do polskiej ziemi i panią jej o śmierć przyprawił.

Nici babskiego lata są niejako przypomnieniem dla niewiast polskich, aby raczej śmierć wybrały, niż małżeństwo z Niemcem.

Krzyżacy na Litwie.

XLIV. MŁODA CZAROWNICA.

Powrót wojsk krzyżackich. — Rozprawy nad tem kto zawinił. — Opowiadania o czasach litewskich. — Jaka była porażka. — Podejrzenia na Pojatę.

W kilka niedziel po przybyciu do Malborga Pojaty wracać zaczęły w okolice miasta wojska krzyżackie, a mieszkania krzyżackie znów napełnił lud zbrojny. Z powrotem w zakonne mury rycerzów, powiększyły się zatrudnienia Hubeka koło porządków stołowych, a małżonka jego, przepasana fartuchem, rumiana od ognia, wesoła naprzemian i gniewna, zastawiała obiady stołującym się u niej knechtom. W tym ciągłym stołowników napływie, Pojata siedząca koło okna, ze wzrokiem w igłę wlepionym, trudniła się zwyczajną robotą naprawy bielizny. Nieznośnem jej było to miejsce, w którem każdy z przychodzących ciekawie zazierał jej w oczy, wolałaby była pozostać w komorze, ale stosować się musiała do woli swej pani.

Dnia jednego po skończonym obiedzie wszczęła się rozmowa o niepomyślności wyprawy litewskiej. Jedni składali winę na Andrzeja Kiejstutowicza, dowodząc, że jego opieszałość w łączeniu się z wojskiem Zakonu, była najpierwszą przyczyną chybionego celu, drudzy obwiniali bezczynność Sundsteina, inni Świętosława okrutne z Litwinami obchodzenie się, byli wreszcie i tacy, co Ulrychowi przebaczyć nie chcieli.

— Dajcie Ulrychowi pokój! — rzekł jeden z Krzyżaków — już on po czasie przybył. Przedtem Sundstein jeździł po dworach, jedząc i pijąc z tymi, których miał zwyciężać.

— Pleciesz, jak na mękach — odezwał się drugi — z kimże miał wojować? czy z babami i starcami, albo może miał się uganiać po lasach za rozproszonym Litwinem?

— Mógł uderzyć na zamki.

— To też i uderzył — zabrał głos inny — alboż to, myślisz, że zamki litewskie nie z tego samego kamienia, co Malborg? Kiedyśmy raz zcicha podstąpili pod Wilno, proszę widzieć, jak nas gracko z wałów przyjęli, aż mi wstyd pomyśleć, że nam tył wzięła jedna słaba niewiasta na czele garstki Litwinów.

— Ja to wiem najlepiej — rzekł inny — bom pół roku nie wychodził ze szpitala po tym przeklętym podjeździe. Kto poradził Sundsteinowi dowództwo, ten ciężki zda przed Bogiem rachunek za stracone dusze.

— Powiedz raczej — zabrał głos stary Krzyżak, który dotąd przysłuchiwał się zdaniom — że ten chyba nie wiedział, czem można tego panicza zawojować, ale Hamilon, dyabłu zaprzedany, najlepiej poznał, z której zachodzić go strony. Jużci nie można powiedzieć, aby Sundstein z początku nie brał się do oręża, jak trzeba; żeby go dyabeł nie skusił, możebyśmy dziś panowali na Litwie, ale cóż? ten potępieniec Hamilon, poznawszy, że mu nie wydoła w polu, zaszedł go sztuką i rzucił czary, które wniwecz obróciły wszystkie nasze starania.

— Słyszałem ja coś o tem — odezwał się jeden — alem to zawsze uważał za bajkę.

— Piękna bajka — ponowił stary — przeciem na wszystko patrzył temi oczyma. A naprzód najgorzej sobie Sundstein poradził, że między Ponarami a Wilnem obóz założył. To nie było miejsce na obóz.

— Ale bo on dlatego tam stanął — odezwał się drugi — że miał kościół pod bokiem.

— A tenże kościół — odpowiedział wojak — czyjaż to sprawka? Wszystko to na nas były sidła, nigdy tam kościoła nie było, ja przecież znam Litwę: stanął on w jednej godzinie na złudzenie nasze, pamiętam, jakeśmy uchodząc nocą z pod Wilna, nagle tę marę między górami znaleźli i nie mogliśmy się wydziwić temu zdarzeniu; a to cud! zawołał Sundstein, a czart uśmiechnął się z radości. I zaraz go kazał otworzyć i sprawiał nabożeństwo za poległych braci, aż tu nadedniem wchodzi piękna, jak anioł dziewczyna i modli się i śpiewa i płacze razem z nami, czem tak ujęła komtura, że zaraz powiedział: tu będzie moja gospoda.

— Co za nieuwaga! — zawołała pani Hubekowa — ale musiała się też ta piekielnica zrobić piękną niezmiernie.

— Jam ją widział — mówił dalej Krzyżak — była piękną, zapewne, jednakże się ta sztuka nie ze wszystkiem dyabłu udała, więc z innej strony zaszedł komtura. Rzecz się tak ma: przywiedziono mu raz do obozu jakąś brankę młodą, daleko od tamtej piękniejszą, owóż była to czarownica w postaci panny; jam jej nigdy, dzięki Bogu, nie widział, ale ci, co ją widzieli, powiadali, że było na co spojrzeć. Czegóż to dyabeł z siebie nie zrobi na zgubę człowieka! Ta tedy czarownica, wysłana z Wilna przez Hamilona, umyślnie gdzieś na Litwie dała się pojmać naszym, żeby się mogła do komtura zbliżyć i jak tylko na niego spojrzała, zaraz go urzekła i tak urzekła, że nasz pan wódz zaraz sam rozwiązał jej pęta i odtąd jak cień wszędzie za nią chodził, a ona się drożyła i udawała niewinną, żeby go bardziej zająć; owo zgoła tak się w niej komtur zaślepił, że przez całą zimę ledwo dwa albo trzy razy do obozu zajrzał.

— Panie, odpuść ciężkie grzechy — żegnając się, mówiła Hubekowa — ale czemużeście tej psotnicy zaraz nie spalili?

— Dałby sobie dobrze ten, ktoby się odważył palec na nią zakrzywić — ponowił stary Krzyżak — albož to myślisz pani, że ona tylko na komturze poprzestała? Ona wszystko oczarowała! broń, konie, działa, wszystko było w jej sieci, aż strach pomyśleć, co się to działo w obozie! Odtąd hulanka, gry, kości, pijatyka, młodszy starszego nie słuchał, chrześcijanin bratał się z poganinem, ani pomyślał, że mu Polacy wiszą nad karkiem.

— Jednakże — rzekł inny — byli tacy, co na tę rozpustę z żalem patrzyli i chcieli się wziąć do broni.

— Nieprawda — rzekł stary Krzyżak — szatan opętał wszystkich, jeden tylko pobożny człowiek, przeor malborski, wolny był od czarów; ale też przeor ani na chwilę nie zrzucił habitu. I prosił i groził; lecz cóż mógł jeden przeciw zapamiętałości kilkunastu tysięcy? Co mi na to powiecie, że ja nawet, ja, co nigdy nie dam się złudzić, już na złej drodze byłem — mówił stary wojak — ale bo też trzeba dodać, że ta czarownica miała w obozie swoje czeladniki i kiedy sama komturem była zajęta, oni tymczasem sztuki swoje dokazywali między knechtami. Pamiętam, osobliwie jeden z nich, mały staruszek, najlepiej znał się na tem rzemiośle. Wieleż to razy grałem z nim w kości, wielem konew wypił z nim piwa i jużem go nieźle polubił, bo stary ćwik język miał jak na kołowrocie i wszystko z siebie dał zrobić. Lgnęliśmy też do niego, jak muchy do miodu; ani mi na myśl nie przyszło, że dyabłu duszę sprzedaję za pieniądze, które mi dawał wygrywać. Dopiero, jak swoje zrobił w obozie, udał się do komtura i jak wziął go macać, i w pięty zaglądać, do tego przywiódł, że biedny wódz, między nami mówiąc, i Boga i wiary odstąpił.

— To był chwat ten mały staruszek — rzekł inny — ja sam widziałem, jak się w oka mgnieniu w kundysa obrócił i porwał nam z rożna pieczeń.

— Jam go raz widział — rzekł drugi — jak na kulbace komtura przelatywał nad naszym obozem i śmiał się na całą gębę, a pysk mu się rozdzierał na łokieć przynajmniej.

— On wszystko mógł z siebie zrobić: psa, ptaka, drzewo i co tylko chciał — mówił stary Krzyżak; — dopiero pokazały się jego sztuki, kiedy przyszło naszym do sprawy. Bił nas Polak, jak zwierz bije trzodę strwożoną, a co uszło oręża, przez Litwinów wytraconem zostało. Komtur, trzeba przyznać, bronił się jak lew, ale kto Boga odstąpił, cóż ten swoją siłą dokaże! Nieszczęśliwy zemknął w góry, wołając: ratuj, szatanie! Wtenczas mu się stawiła na pomoc jego czarownica miła i porwawszy go z koniem, uchodziła z nim w lasy. Gonił ich jakiś Polak zawzięty, ale ona mu tak zrobiła, że gdzieś tam, słyszę, kark złamał. Niezadługo moc jej czarów skończyła się; powiadano mi, że ją pojmali z komturem tak bezsilną i biedną, iż nic nie umiała, tylko płakać i narzekać.

— O przeklęta poganka! — zawołała uradowana pani Hubekowa. — I cóż tedy z nią zrobili?

— Tego dobrze nie wiem — odpowiedział knecht, prowadzący rozmowę — ale zapewne nie bardzo jej musiano oszczędzać.

— Słyszałem -- odezwał się inny — że ją komtur Ulrych odesłał tutaj do przyjazdu mistrza.

— Tutaj ją odesłał? — powtórzyła pani Hubekowa, rozwierając z przestrachu wielkie swe oczy. — Czy to być może? a toby pięknie było, żeby się ona w moim znajdowała domu!

Pojata, siedząca przy oknie, całą tę rozmowę słyszała. Serce jej strwożone, ręce drżące, a oczy łez pełne, w miarę powiększających się obwinień, coraz mniej jej dozwalały trudnienia się igłą. Bolała ją niesprawiedliwie na nią rzucona potwarz i w smutnej kolei wystawiała jej przyszłość, ale daleko okropniej udręczała wiadomość, jakoby rycerz, niosący jej ratunek, życie postradał. Odtąd śmiertelną niemocą przejęta, bez władzy trzymała w ręku robotę. Pani Hubekowa, jak tylko usłyszała, że obwiniona o czary Litwinka do Malborga odesłaną została, pełna niespokojności, porwawszy się z miejsca, stanęła przed Pojatą, pytając, czy nie jest tą niewiastą, którą z Sundsteinem pojmano?

— Jestem nią — drżącym głosem odpowiedziała dziewica.

— Ty? ty nią jesteś? — odskakując jak oparzona, zawołała pani Hubekowa, gdy Krzyżacy tymczasem, zdjęci zgrozą, zdaleka przypatrywali się nieszczęśliwej, różne o niej czyniąc uwagi. — O biada mi! czarownica w domu moim! zgubiona jestem na duszy i na ciele!

— Pani! uspokój się, to wszystko zmyślone. Ja szkodliwą nie jestem — mówiła nieśmiało, głos wznosząc Pojata.

— Precz! precz! nie mów nic do mnie, nie przystępuj! — krzyczała gospodyni.

— Co? to wszystko zmyślone? — zawołał oburzony stary Krzyżak — jeszcze mi kłamstwo będziesz zadawać?

— Daj pokój — rzekł, przytrzymując go, inny — z dyabłami nie trzeba zarywać!

— Czyż miał komtur Ulrych sumienie przysyłać mi gościa takiego! — wołała Hubekowa. — Zaraz poznałam, że to ladaco; patrzcie; jeszcze oczy ociera bielizną stołową, a ja tak byłam głupia, żem się cieszyła z jej roboty i ani przyszło mi na myśl, że to moc piekielna! O! moi przyjaciele, bądźcie łaskawi, weźcie ją sobie natychmiast!

— A nam co po niej? — odezwał się jeden z Krzyżaków — albośmy niedość jeszcze z jej łaski nabiedowali?

— Uspokój się pani — rzekł inny; — kiedy czarownica płacze, to się już można jej nie obawiać. Powrót też mistrza, wkrótce spodziewany, uwolni nas od niej.

— Ale ja jej nie chcę ani chwili w moim domu, czyż nie macie dość lochów pod zamkiem, żebyście ją sobie tam do przyjazdu mistrza trzymali? Jeżeli mi jej zaraz nie zabierzecie, to się natychmiast z domu wynoszę i opuszczę i srebra i kuchnię i służbę i wszystko.

— A ja radzę pani — rzekł stary Krzyżak — zostać w domu spokojnie i być pewną, że kiedy się już dotąd nic złego nie stało, to i nie stanie, wszakżem powiedział, że jej moc przepadła.

— Zapewne! — powtórzył inny — można i rozporządzenia komtura Ulrycha zachować i tej się psotnicy nie lękać. Kiedy ją tu przysłał, wiedział, na co przysyła.

— Otóż jak często nieszczęście na równej drodze spotyka człowieka! Precz mi zaraz do komory! — wołała w gniewie pani Hubekowa.

Pojata, łzami zalana, weszła do niej niezwłocznie, drzwi na zamek spuszczone zostały, a zioła, oddalające czary, dymem napełniły izbę. Tymczasem Krzyżacy jeden po drugim opuszczali niebezpieczne mieszkanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak ja Cię kocham!...



Jak ja Cię kocham, Ty Matko moja!
Powie Ci domek mój na Twym łonie,
Który wraz z Tobą najdroższy w świecie,
Co tak do niego serce me płonie.

Jak ja Cię kocham, powie Ci lipa,
Pod którą snuję rym z serca rzewny
O tych katuszach i Twoich bólach,
Które popełnia wróg Tobie gniewny.

Jak ja Cię kocham, powie Ci rola,
Twoją krwią własną wskroś przesiąknięta,
Bo na niej śpiewam żałosne słowa:
„Ach kiedyż zrzucisz, Ojczyzno, pęta?“ —

Jak ja Cię kocham, powie Ci strumyk,
Co nad nim zawsze w przyjemnem lecie,
Siedząc, modlę się za wolność Twoją...
Albo też smutnie grywam na flecie...

Jak ja Cię kocham, powie skowronek,
Z którym ja swoje podzielam pieśni —
Śpiewając razem: „Matko kochana,
Kiedyż z grobowej powstaniesz pleśni?“

Robert Rydz.

Grunwald na wsi.

Hnilcze, 26 września 1910.

Dnia 25 września obchodziliśmy pamiątkę świetnego zwycięztwa Polaków pod Grunwaldem. Chociaż nam nie tak łatwo było można to zrobić, bo jest nas tu niewielka ilość szlachty, gdyż tylko trzecia część, a dwie trzecie Rusinów, jednak sprowadziliśmy pomnik za 160 koron i usypali śliczną mogiłę. Pomnik został tej niedzieli, po odprawieniu nabożeństwa, poświęcony. Po poświęceniu przemówił tutejszy ksiądz proboszcz.

Wieczorem o godz. 7 odegraliśmy sztukę p. t.: »Rycerze Jadwigi«, pod przewodnictwem tutejszego organisty Franciszka Sługockiego, która wypadła bardzo dobrze. Zamiast wstępu były datki dobrowolne, z których uzyskaliśmy 70 koron. Przedstawienie zaczęło się i skończyło pieśniami narodowemi.

Józef Wiktor Sługocki.

Pilzno, 20 września.

Ciche, starożytne królewskie miasto Pilzno w dniu 18 września urządziło u siebie wspaniały grunwaldzki obchód powiatowy. Już o świcie strzały moździerzowe zapowiedziały święto narodowe, a hejnały z wieży starożytnego kościoła parafialnego rozniosły echa poważnych polskich melodyi ponad udekorowane miasto i wioski sąsiednie. Zaroiły się wioski i szlaki dróg od licznych banderyi konnych, pieszych, czwórkowych wozów z wieńcami, kosynierów, straży pożarnych, milicyi, Sokołów, Towarzystw, delegacyi itp. itp. Błyskały lance, kosy, fruwały chorągiewki, lśniły pawie pióra a polskie krakowskie stroje banderyi i kobiet nadawały im swojski, wspaniały, barwny wygląd.

Na godz. 10 p. Wł. Szczurkiewicz ustawił pochód, podzielony na trzy grupy, wśród których pięknie wyglądali konni banderzyści w liczbie 400 pod wodzą p. Jastrzębskiego ze Strzegowic i kosynierzy w liczbie 200, jak również karabinierzy z Brzostka. Osobną część grupy stanowili Błażkowianie ze swą muzyką na czele.

Pochód, rozciągający się na przestrzeni półtorakilometrowej, witany z entuzyazmem przez kilkutysięczny szpaler widzów — przeciągnął przez główne ulice miasta, okolił Rynek i ustawił się na nowo przy kościele farnym, gdzie ks. dziekan Fąferko celebrował uroczyste nabożeństwo. Podczas nabożeństwa przemówił gorąco znany kaznodzieja ks. Ignacy Ziemba, kanonik i proboszcz z Jodłowy, milicya zaś dawała salwy karabinowe. Po sumie kilkunastotysięczna rzesza ludu zapełniła Rynek i tu rozpoczęły się przemówienia. Pierwszy przemówił marszałek powiatu hr. Mikołaj Rey. W gorącem przemówieniu, skreśliwszy znaczenie zwycięztwa grunwaldzkiego, dziękował serdecznie wszystkim, którzy poświęcili pracę i trud dla uświetnienia obchodu. Drugi przemawiał Dr. Witold Lewicki. Mowca sięgnąwszy myślą w najbliższą przyszłość i podawszy środki, jakimi obecnie naród rozporządzać może, wzniósł okrzyk na cześć Ojczyzny. W imieniu włościaństwa przemówił poseł Krężel, który wzniósł okrzyk »Niech żyje Polska ludowa!« Wkońcu Trojan, włościanin z Lubczy, wygłosił patryotyczny wiersz swojego układu, poczem rozdano broszurki grunwaldzkie.

Popołudniu odbył się nader urozmaicony festyn ludowy, a wieczorem grono amatorów z Brzostka odegrało pod kierownictwem Franciszka i Wacława Skoczków sztukę ludową p. t. »Zmartwychwstanie«. Na przedstawieniu rozdano włościanom 400 biletów darmo.

Wiersz grunwaldzki.

(Wygłoszony na uroczystości dnia 18 września 1910 r. w Pilznie).

Stanęliśmy, rodacy, ramię do ramienia
Uczcić godnie pamiątkę wielkiego znaczenia
Wiekopomnej rocznicy: jak nasz Król Jagiełło
Pogromił Krzyżaków — zrobił wielkie dzieło.

Toć i w naszym zakątku, w Pilzneńskiem powiecie,
Wielebne Duchowieństwo, Panowie i Kmiecie,
Uczcić święto narodowe tutaj się zebrali
aby sobie ręce wzajemnie podali.

Kochajmy się nawzajem jednej matki dzieci!
Prędzej złota wolność nad nami zaświeci.
W całej Polsce niech będzie hasło: *Sursum Corda*
Prędzej z polskiej ziemi zniknie pruska horda.

A więc bracia włościanie — dążmy do oświaty,
Byśmy byli tak dzielni, jak przed pięćset laty
Nasi Praojcowie, co Polski bronili;
Byśmy i my za naszych czasów Polskę przywrócili.

Teraz już nie wystarcza siedzieć jak pacholę,
Nic nie wiedzieć prócz pracy na roli, w stodole
Trza poznać historyę zasłużonych ludzi
Prędzej patryotyczny duch u nas się rozbudzi.

Tym duchem narodowym, gdy nas wiatr owieje,
Ustąpią nasze wrogi — przyszłość rozjaśnieje,
Gdy się wspólnemi siły weźmiemy do pracy,
Toć światu damy poznać, że żyją Polacy,

Choć Prusak naszych Braci dziś germanizuje,
Moskal dzielnych wiarusów — Sybirem traktuje
Toć, gdy w naszej dzielnicy lepsze czasy błysły,
Co prędzej rozbudzajmy uśpione umysły.

Choć wrogi rozszarpały Ojczyznę w kawały,
Jak lawa od wulkanu cały kraj zalały,
Chcąc zatrzeć imię Polski swemi zachciankami
Baczność! Bracia nie dajmy przewodzić nad nami.

Do czynu solidarnie, kto Polak, kto żyje,
Ufni w Bogu zwalczymy przeciwne armie,
Lecz szczerze zachowujmy prapradziadów wiarę,
I cnoty, czyny, męztwo i zwyczaje stare.

Dzisiaj każdy włościanin Polakiem się czuje,
Na oświatę, gazetki — grosza nie żałuje,
Starsi bracia niech będą zawsze drogowskazem
Lud kmiecy swemi plecy dźwignie Polskę razem.

Polepszy się dobrobyt — podniosą się wioski,
Przywrócimy na nowo znów ideał Polski,
Bo choć sto lat nad nami górę przemoc wzięła,
Hejże Bracia do dzieła: Polska nie zginęła.

Nie trać nadziei polski pielgrzymie!
Choć wykreślono Ojczyzny imię
Pracuj wytrwale, co sił Ci stanie
I wierz, że Polska zmartwychpowstanie.

Byśmy tych czasów wkrótce dożyli,
Trza nam iść zgodnie, Rodacy mili,
Kościół, dwór, miasta razem i kmiecie
Wtenczas nas żadna przemoc nie zgniecie.

Jakąż więc dziś naukę, nabędziemy w Pilznie?
Kochajmy się nawzajem i służmy Ojczyźnie,
Do pracy, hej Rodacy! a spory niech zginą,
Zabłyśnie Orzeł biały nad Polską krainą.

Jędrzej Trojan, włościanin w Lubczy.

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

32.

Gdy Jan Kazimierz złożył koronę, dwie wojny wisiały nad Polską: kozacka i turecka. W takiej to chwili trzeba było myśleć o wybraniu nowego króla. I znowu zaczęto się waśnić i kłócić, aż póki ktoś nie krzyknął:

— »Niech żyje Piast!« — co miało znaczyć, aby królem wybrać nie cudzoziemca, ale Polaka. Wtedy ktoś inny zawołał:

— »Niech żyje król Michał!«

Okrzyk ten odnosił się do Michała księcia Wiśniowieckiego, którego ojciec, Jerzy, dzielnie bronił Polskę od Kozaków i Tatarów, na co cały majątek stracił i całe życie poświęcał. Teraz poczciwe dusze polskie, chcąc synowi wynagrodzić za cnoty ojca, który już nie żył, obrali go sobie za króla (1669 r.).

Zaraz nazajutrz król Michał był panem milionowym, tak wiele nadawano mu podarunków, t. j.: karet, pięknych koni, sreber, dyamentów, łańcuchów złotych i t. p. Pan Bóg tak skłonił ku niemu serca ludzkie, że kto co miał najdroższego, to mu niósł i oddawał.

Nowy król, uwolniwszy się około północy od tych ceremonij, pojechał do swojej matki, która mieszkała w Warszawie. Wyszła ona na jego spotkanie. Król, upadłszy do nóg matki, prosił ją o błogosławieństwo. Matka przyjęła go ze łzami i dziękowała Najwyższemu, że syna jej niespodziewanie tak wysoko podniósł.

Niewesołe jednak było panowanie młodego króla! Doroszenko, hetman kozacki, wybiwszy się z pod władzy moskiewskiej, poddał się Turkom, a ci zbierają wojsko i idą wielką chmarą na Polskę. Zabrali Turcy twierdzę Kamieniec i całe opanowali Podole, a nawet Lwów oblegli. Nie miał ich kto odeprzeć, bo nie chciano słuchać młodego króla, to też zawarto w Buczaczu haniebny pokój.

Król strapiony nie pożył długo, bo już w 1673 roku umarł we Lwowie. Nie dożył zwycięztwa, jakie odniósł nad Turkami, Jan Sobieski, pod Chocimem.



Król Michał prosi matkę o błogosławieństwo.

Obrady Sejmu.

Zeszłego tygodnia otwarto we Lwowie obrady Sejmu galicyjskiego, który jest jedynym najwyższym przedstawicielem samorządu i ustawodawstwa na ziemiach polskich. Z tego powodu obrady naszego Sejmu zajmują żywo wszystkich Polaków, nietylko nas w Galicyi.

Przy otwarciu obrad sejmowych przemawia zawsze najpierw marszałek krajowy, kierownik Sejmu samorządu krajowego, a po nim namiestnik, przedstawiciel cesarza i rządu. Ich mowy są bardzo ważne, bo zawierają treściwie to, co w ostatnim czasie Wydział krajowy i rząd uczynili a przedewszystkiem jakie zadania w najbliższej przyszłości czekają Sejm i rząd krajowy.

W tym roku marszałek, Stanisław hr. Badeni, w mowie swej podniósł naprzód ze smutkiem, że nieprzyjazne stosunki między Rusinami a Polakami nie zmieniły się na lepsze, ale nawet pogorszyły się z winy Rusinów. Dalej marszałek omawiał budżet na rok 1911. W roku przyszłym kraj nasz ma wydatków okrągło 63 miliony koron, a dochody mniejsze o okrągłe 5 milionów. I nie dziw, gdyż kraj ogromnie dużo wydaje na szkoły i oświatę. Dalej mówił marszałek, że obecny Sejm zajmie się sprawą podniesienia bardzo zaniedbanego u nas rękodzielnictwa i stworzy t. zw. Krajowy Patronat rękodzieł i przemysłu, którego zadaniem będzie roztoczyć opiekę nad rękodzielnikami w całym kraju i przychodzić im z pomocą radami i także dogodnemi krótkoterminowemi pożyczkami. Dla poparcia wielkiego przemysłu stworzył zaś kraj t. j. Sejm i Wydział krajowy — Bank przemysłowy, który przed kilku dniami rozpoczął swe istnienie we Lwowie. Wkońcu omówił Marszałek ogromnej doniosłości sprawę, t. j. sprawę budowy kanału wodnego. Już przed 10 laty parlament w Wiedniu uchwalił, aby naszą Wisłę połączyć kanałem z Odrą a nawet z Dunajem, dotąd jednak rząd zwleka z wypełnieniem tej ustawy. Kraj musi się domagać wykonania tej uchwały.

Namiestnik, Dr. Michał Bobrzyński, między wieloma innemi sprawami najszerzej omówił sprawę rozdawnictwa koncesyj szynkarskich. Starających się o te koncesye jest kilkakrotnie więcej, niż szynków i karczm do rozdania. Starostowie mają od namiestnika polecone, aby tylko te osoby uwzględniali przy nadawaniu koncesyj, które gminy polecą a które są odpowiednio do prowodzenia takiego szynku czy karczmy uzdolnione lub prowadziły już wyszynk bez zarzutu i które mają na taką karczmę czy szynk odpowiednie zdrowe i czyste pomieszczenie. Namiestnik zapewnił, że koncesye te tak są rozdawane, iż ograniczą ogromnie pijaństwo, które w niektórych

okolicach rozpowszechniło się tak dalece, że na 100 mieszkańców, licząc w to kobiety i dzieci, przypadał jeden szynk. Od 1 stycznia 1911 r. w gminach wiejskich jeden szynk będzie przypadał mniej więcej na 800 mieszkańców a w gminach miejskich na 500 mieszkańców. Gdzie tylko gmina uchwaliła, że nie chce mieć u siebie karczmy, tam jej mieć nie będzie, lub gdzie gmina chce mieć mniej szynków, tam będzie miała tak mało, ile chce. Namiestnik nadto zarządził, że z fabryk i miejsc odpustowych wszystkie szynki będą usunięte, bo tam się najwięcej zbiera ludność robotnicza i pielgrzymi, która jest narażona na pijaństwo i utratę pieniędzy. W tych miejscach będą natomiast gospody z podawaniem jedzenia, kawy i herbaty. W której gminie będą szynki, tam szynkarze sami muszą sprzedawać napoje, a nie jak dotąd nieraz wydzierżawiać i ciągła będzie nad nimi kontrola, aby nie rozpijali ludności.

Dalej namiestnik przypomniał, że coraz więcej u nas buduje się szkół, 613 gminom przyznano na budowę szkół 8 i pół miliona koron. Nadto coraz więcej szkół ludowych zamienia się na 4-klasowe. Niebawem rząd przystąpi do budowy wielu szkół przemysłowych i handlowych, tak potrzebnych w naszym kraju.

W dalszym ciągu namiestnik mówił, w jaki sposób będzie użyta kwota 1 miliona 428 tysięcy, przeznaczona przez rząd na poparcie chowu bydła w Galicyi i na podniesienie rolnictwa wśród włościan.

Na następnych posiedzeniach sejmowych obradowano między innemi nad wnioskiem stworzenia w kraju zakładów rolniczych, które będą miały za zadanie kształcenie jak największej liczby młodych włościan w uprawie roli i gospodarstwie. Ten wniosek oddano do opracowania Wydziałowi krajowemu, tak, że z przyszłą wiosną Sejm będzie już obradował nad gruntownie opracowanym wnioskiem.

Sejm zastanawiał się nad tem, żeby Wydział krajowy badał nędzę nietylko u żydów, ale także u ludności chrześcijańskiej po miasteczkach i wsiach. Tę sprawę oddano do rozpatrzenia i opracowania komisyi administracyjnej.

Następnie powzięto ważną uchwałę, która wzywa rząd do bezzwłocznego starania się, aby rząd niemiecki dawał rentę tj. wynagrodzenie pieniężne robotnikom polskim i ruskim, którzy idą na robotę do Prus, gdy któremu z nich przydarzy się tam w pracy nieszczęśliwy wypadek, tak, że nie będzie już mógł pracować na życie.

Poważne obrady Sejmu zakłócają często posłowie ruscy rozmaitymi wykrzykiwaniami, za co ich często marszałek musiał karcić.

W poniedziałek dnia 4 b. m. odbyło się w gmachu sejmowym posiedzenie komisyi reformy wyborczej. Na tem posiedzeniu złożył namiestnik Bobrzyński niezmiernie ważne dla tej sprawy oświadczenie, że rząd nie zgodzi się na taką reformę wyborczą, która opierałaby się na powszechnem głosowaniu, a sankcyę otrzyma tylko taki projekt, który zatrzyma »reprezentacyę interesów«, tj. kurye wielkich, małych rolników, miast, handlu itd.

Po tem ogłoszeniu rozmaite stronnictwa składały kolejno przez usta swoich prezesów rozmaite oświadczenia. Wszyscy wyrazili zgodnie chęć przeprowadzenia reformy jeszcze w obecnej sesyi sejmowej i gotowi są rozpocząć układy, celem porobienia sobie wzajemnych ustępstw, bez których żadna reforma nie mogłaby dojść do skutku. Jest nadzieja, że przy dobrej woli wszystkich stronnictw uda się to przeprowadzić. Tylko Rusini robią wielkie trudności i nic nie chcą ustąpić.



MACIEK BZDURA GADA:

Niektóre ludzie narzykają, że la nich Poniezus nie stworzył ani gruntu, ani chałpy, ani nic takiego, na cemby mogli swoją głowę posadzić. Zdaje jem się, że oni najbidniejsi na świecie i ze nic jem insego nie wypada ucynić na świecie, jak ślipia zamknąć i kopyta wyciągnąć.

Ale ono zgoła to wsyćko całkiem nieprawda! W człowieku juz jest taka natura, ze onby zawse chcioł tego, cego nima, a niekuntenty z tego co ma. Jak na ten przykład ma chłop babę uściwą i robotną, to ci powiada, ze wolałby mieć zamiast swoi baby za babę kumę, bo kuma przyścipniejsa i na gębie świarniejsa.

A ten kum, co ma babę ładniejsą, to znowu nie kuntentny i pada, ze cłek se ładności nie poje, ale robotność i gospodarność to grunt. Ale tak jednemu, jak i drugiemu, to naprawdę chyba to dopika, co oni mają ino po jednej babie, a nie po pięć Oj, ludzie, ludzie, jakby to z jedną babą mało było kłopotu.

A inse ludzie, to znowu z cego innego niekuntentne. Kumornik, to ino o tem myśli i gada, ze byłby scęśliwy, jakby Poniezus stworzył la niego choć małą, ale rodzoną chałpę. Ale jak się tej chałpy dochrapie, to powiada znowu, ze wtedy byłby całkiem scęśliwy, jakby miał choć tyle gruntu, co u plebańskiej kucharki gęba. I znowu charuje i charuje, aż się dorobi trochę drobnych i kupi se štync dobrego gruntu.

Teraz to scęście, o którem on gadał, znowu uciekło od niego i teraz pada, ze wtedy będzie scęśliwy, jak się dorobi jaki jałówki, coby od niej miał mliko i masło. Ale jałówka, to wielga rzec! Ani jej z rękawa nie wytrzęsie, ani pod płotem nie znajdzie, ale trzeba mieć dużo koron, aby ją kupić i scęśliwości wiecnej się docekać.

Niech ino cłek taki dojdzie do takiego hunoru, coby miał swoje jałówke, a przez nią całe scęście, to ono mu w tej chwili ucieknie i cłek taki pada, co on wtedy będzie całkiem scęśliwy, jak będzie miał drugą jałówkę.

I znowu łapanie tego scęścia zacyna się nanowo, a im ono się blizsem zdaje, tem jest dalsiejse, bo jak chłop ma dwie jałówki, toby chciał mieć štyry, a potem i kobyłe i gruntu parę morgów i tak coraz więcej i więcej.

Na tem ciągłem gonieniu za tem niby scęściem schodzą cłekowi miesionce i lata, aż przyndzie śmierć i powie: »Chodź Kuba do podwójciego!« I to właśnie jest jedna dobra rzec na świecie, bo cłek każdy goniący za scęściem, jakby zył długo i miał choćby sto morgów gruntu i sto jałówek i innych hunorów po usy, toby mu to jesce wsyćko było mało i mozeby mu się zachciało być organistą, albo nawet i siandarem!...

———x———

Kara Boża.

Jesienny wicher hulał po lasach karpackich, giął drzewa i odrywał z nich zżółkłe liście. Oderwany liść, niesiony wiatrem, bujał chwilę w powietrzu, póki nie natrafił na przepaść, aby na jej dnie spocząć na zawsze.

Hulał wicher, potrącał liście, a poigrawszy z nimi, wciskał się do chaty Szymona Krzemyka, który siedząc przy dębowym stole na kogoś niecierpliwie czekał.

Szymon Krzemyk był to góral, lat około 35, czerstwy i zdrowy. Z twarzy jego biła jakaś zuchwałość, a wzrok wskazywał, że coś na dnie duszy nurtuje z czemby się Szymon nie rad był przyznać przed światem.



I teraz siedzi w zacisznej chacie, a wzrok jego jakiś niepewny co chwilę spoczywa na drzwiach, jakby się tam spodziewał kogoś zobaczyć.

Nareszcie drzwi skrzypnęły i do chaty wszedł młody jeszcze parobczak w stroju góralskim, lat około 25.

— Nareszcie! — zawołał Szymon, podnosząc się z ławy. — Myślałem, że już nie przyjdziesz, a tu czas najwyższy do roboty. Noc taka, że na palec przed sobą nikogo nie zobaczysz.

— Noc dobra, gazdo Szymonie — odrzekł młodzian — ale mnie jakieś dziwne przeczucie mówi, że wyprawa nasza dzisiejsza nie skończy się dobrze. Możeby lepiej zaniechać?

— Zaniechać?... Oszalałeś, czy co? — wybuchnął Szymon. — Sposobność taka drugi raz się nie trafi! Od Cymy wszyscy starsi wybrali się na odpust, zostały same dzieci: ani pies nie zobaczy, jak my staremu podbierzemy trochę grosza.

Stał tak Szymon, a wzrok jego więcej mówił, jak słowa. Cała pożądliwość cudzego dobra skupiła się w jego wzroku i oszpeciła twarz przedtem piękną.

Skorzystała z chwili milczenia Naścia, żona Szymonowa: przypadła do niego i na kolanach zaczęła błagać:

— Nie chodź, gołąbku, na kradzież, nie chodź!

Szymon odtrącił żonę i skierował się do drzwi.

— Gdyby człek nie przykradł — rzekł jeszcze od drzwi — z głoduby trzeba zdechnąć....

Wybiegła Naścia za nim i prośbą starała się zawrócić męża z drogi, lecz naprożno! Odtrącił ją brutalnie i zniknął w ciemności. Wróciła biedna kobieta do chaty i łzy strumieniem popłynęły z jej oczu.

Tymczasem Szymon ze swym towarzyszem, utykając w ciemności, szli ku chacie Cymy, stojącej na drugim końcu wsi a zasłoniętej od niej górami. Utykając, zdołali zajść w zagłębienie, w jakiem znajdowała się chata Cymy, po niedługim czasie znaleźli się obok niej.

Naradziwszy się chwilę, postanowili podkopać się pod przycieś komory i tą drogą dostać się do pieniędzy zamożnego gazdy. Nie zwłócząc zabrali się do roboty. Po niedługiem kopaniu otwór był tej wielkości, że człowiek mógł się przez niego przesunąć. Szymon, kazawszy towarzyszowi mieć pilne baczenie na wszystko, począł sam wsuwać się w wykopany otwór.

Z początku szło wszystko dobrze, ale gdy już głowa jego znajdowała się w otworze, poznał, że stoi nad nim jakaś beczka. Nie namyślając się długo, pchnął głową beczkę, aby sobie dalszą drogę utorować. Lecz to było właśnie jego nieszczęściem. Beczka, napełniona kapustą, była zbyt ciężką, aby się dała odsunąć. Owszem, poruszona, przechyliła się nad otwór i przycisła sobą Szymona.

Towarzysz jego, domyśliwszy się po jakimś czasie, że z Szymonem coś dzieje się niedobrego, a chcąc poznać, coby to było, zapalił zapałkę i pochylił się nad otworem. Widok, jaki tam zobaczył, przeraził go do tego stopnia, że wypuścił z rąk palącą się zapałkę i począł uciekać. Od porzuconego ognia zajęły się trzaski i gałęzie rozrzucone obok domu Cymy i po chwili łuna rozlała się po niebie.

Nieprędko ludzie zobaczyli pożar, gdyż w nocy każdy spał spokojnie. Dopiero, gdy dach już spłonął, ktoś jasność zobaczył, a ten pobudził innych. Rzucono się na ratunek, który o tyle był łatwiejszy, że opodal płonącej chaty płynęła rzeka. Zatamowano w niej wodę i skierowano ku ogniowi. Ale ogień pochłaniał już resztę chaty.

Nikt nie mógł się domyśleć przyczyny pożaru, jedna tylko Naścia przeczuwała ją. Gdy przez cały dzień następny Szymon nie powracał, poszła na miejsce pogorzeli, zalane ciągle wodą, aby tam szukać śladu swego męża. Jakoż znalazła niedługo parę strzępów ubrania i trochę spopielałych kości.

Załamała ręce, a łzy rzęsiste popłynęły z jej ocz..

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

ZATOKA VIGO.

»Nautilus«, prując wody ostrzem swej ostrogi, zawrócił na otwarte morze i wypłynął na powierzchnię. Tym sposobem przywrócono nam codzienne przechadzki po platformie.

Zaraz też wyszedłem z Ned-Landem i Konselem. Silny wiatr dął od południa; morze było niespokojne, wzburzone i gwałtownemi uderzeniami bałwanów silnie kołysało »Nautilusa«. Niepodobna było prawie utrzymać się na platformie; zaczerpnąwszy więc trochę świeżego powietrza, powróciliśmy do wnętrza statku.

Zeszedłem do mego pokoju, Konsel udał się do swej kajuty, a Kanadyjczyk widocznie czemś mocno zajęty, poszedł za mną. Nasza szybka wędrówka przez morze Śródziemne nie pozwoliła mu wykonać powziętych projektów, nie taił też wcale swego niezadowolenia. Gdy zamknęły się drzwi mojego pokoju, Ned-Land usiadł i spojrzał na mnie w milczeniu.

— Przyjacielu Ned — odezwałem się do niego — rozumię cię wybornie, ale nie masz nic do wyrzucenia sobie. W warunkach, w jakich żeglował »Nautilus«, myśleć o ucieczce byłoby szaleństwem.

Ned-Land nic nie odpowiedział. Zaciśnięte usta i namarszczone brwi wskazywały, że był zawzięcie jedną myślą zajęty.

— Posłuchaj przyjacielu — dodałem — nic jeszcze niema straconego. Płyniemy ku brzegom Portugalii. Niedaleko od nich są Francya i Anglia, gdzie z łatwością znajdziemy schronienie. O! jeśliby »Nautilus«, wypłynąwszy z cieśniny Gibraltarskiej, skręcił na południe, gdyby nas poniósł w okolice, gdzie brak jest lądów, wówczas podzielałbym twoją niespokojność. Teraz jednak wiemy, że kapitan Nemo nie stroni od mórz okolic ucywilizowanych i jak sądzę, za dni kilka możesz działać z pewnym widokiem powodzenia.

Ned-Land jeszcze bystrzej spojrzał mi w oczy i nakoniec otworzył usta.

— Zrobi się to dziś wieczorem — rzekł.

Wyprostowałem się nagle. Przyznaję, iż mało byłem przygotowany do tej wiadomości. Chciałem odpowiedzieć Kanadyjczykowi, lecz słów mi zabrakło.

— Umówiliśmy się czekać na przyjazną sposobność — dodał Ned-Land. — Tę sposobność trzymam w ręku. Dziś wieczorem będziemy tylko o parę mil od brzegów hiszpańskich. Noc jest ciemna. Wiatr wieje od morza. Mam twoje słowo, panie Aronnax, i polegam na niem.

Gdy i teraz jeszcze milczałem, Kanadyjczyk wstał i rzekł, zbliżając się do mnie.

— Dziś wieczór o dziewiątej. Uwiadomiłem już Konsela. O tej porze kapitan będzie zamknięty w swoim pokoju i prawdopodobnie już w łóżku. Konsel i ja wejdziemy na schody środkowe; pan zaś, panie Aronnax, pozostaniesz w bibliotece o dwa kroki od nas, i czekać będziesz na sygnał — wiosła, maszt i żagle są w łodzi. Udało mi się złożyć tam już trochę zapasów żywności. Postarałem się także o klucz angielski do odkręcania śrub, które łączą łódź z pudłem »Nautilusa«. Tak więc wszystko jest gotowe.

— Morze jest niespokojne — zarzuciłem.

— Prawda — odpowiedział Kanadyjczyk — trzeba jednak coś zaryzykować. Wolność warta jest narażenia się na trochę niebezpieczeństwa. Zresztą łódź jest mocna, a kilka mil przy popychającym nas wietrze, to fraszka. A kto wie, może jutro będziemy o sto mil na otwartem morzu? Jeśli nam okoliczności posłużą, między dziesiątą i jedenastą w nocy dostaniemy się na ląd stały lub zginiemy. Więc przy Bożej pomocy, dziś wieczór!

To rzekłszy, Kanadyjczyk odszedł, zostawiając mnie prawie ogłuszonego. Wyobrażałem sobie, że w danym razie będę miał przynajmniej czas do namysłu i rozważania projektu ucieczki. Uparty mój towarzysz nie pozwalał mi na to, a zresztą, cóżbym mógł mu powiedzieć? Ned-Land miał najzupełniejszą słuszność; sposobność była dość przyjazną i on z niej korzystał. Czyż mogłem cofać swoje słowo i w interesie czysto osobistym narażać przyszłość moich towarzyszów? Alboż jutro kapitan Nemo nie mógłby nas zawlec na otwarte morze, zdala od wszelkich lądów?

W tej chwili silny świst dał poznać, że napełniano zbiorniki, i że »Nautilus« zanurzał się pod fale Atlantyku.

Pozostałem w moim pokoju. Chciałem unikać kapitana, żeby ukryć przed nim moje wzruszenie. Tak przepędziłem dzień dość smutny, z chęcią odzyskania mojej wolnej woli, i z żalem na myśl o opuszczeniu tego cudownego »Nautilusa« przed ukończeniem moich studyów podmorskich.

Dwa razy wchodziłem do salonu. Chciałem zobaczyć na kompasie, czy »Nautilus« w istocie zbliżał się do brzegu, lub też od niego oddalał. Ale nie, »Nautilus« wciąż pozostawał na wodach portugalskich, płynąc wzdłuż brzegów, w kierunku północnym. Wypadało tedy poddać się losowi i przygotować do ucieczki. Pakunek mój nie był ciężki.

Co do kapitana Nemo, zapytywałem się w duchu, co on pomyśli o naszej ucieczce: czy nabawi go niespokojności, czy wyrządzi mu jaką krzywdę? Co pocznie kapitan w podwójnym razie, jeśli ucieczka będzie wykrytą lub chybioną? Niewątpliwie, dotychczas nie miałem powodu żalić się na niego; chyba przeciwnie. Gościnność jego zasługiwała na wszelkie pochwały; była otwartą i szczerą. Opuszczając go, nie mogłem jednak być posądzonym o niewdzięczność. Żadna przysięga nie przykuwała nas do niego. Liczył on nie na nasze słowo, lecz jedynie na samą moc okoliczności, które miały nas połączyć na zawsze z jego losami.

Dzień oczekiwania zdawał się być długim jak wieczność. Godziny posuwały się zbyt powolnie, dla mojej gorączkowej niecierpliwości. Przyniesiono mi obiad do mojego pokoju. Jadłem bez apetytu, cały jedną myślą zajęty. O siódmej wstałem od stołu. Sto dwadzieścia minut oddzielało mnie jeszcze od chwili, w której miałem złączyć się z Ned-Landem. Niespokojność i wzruszenie moje wzrastały. Puls bił gwałtownie. Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Przechadzałem się tu i owdzie, spodziewając się, że uspokoję wzburzenie umysłu. Myśl, że nie powiedzie się nasze zuchwałe przedsięwzięcie, była najmniejszą z moich przykrości; ale serce moje biło gwałtownie, gdym pomyślał, że nasz projekt będzie wykryty przed opuszczeniem »Nautilusa« i że przyprowadzą mnie przed kapitana Nemo rozjątrzonego, lub, co gorsza, zasmuconego mojem zbiegostwem.

Chciałem po raz ostatni wrócić do salonu. Zawróciłem kroki na korytarz podłużny i wszedłem do owego muzeum, gdzie przepędziłem tyle godzin miłych i użytecznych. I patrzyłem na wszystkie te bogactwa, na wszystkie te skarby, jak człowiek w przededniu pójścia na wieczne wygnanie, z którego nie ma powrócić. Przebiegając salon, zbliżyłem się do drzwi w poprzecznej ściance, którędy się wchodziło do pokoju kapitana. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, drzwi te były nawpół otwarte. Mimowolnie co-

fnąłem się. Jeśli kapitan był w swoim pokoju, mógł mnie zobaczyć. Nie słysząc jednak żadnego szelestu, zbliżyłem się i zajrzałem. Pokój był pusty. Popchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Ten sam, jak zawsze, widok surowy, pustelniczy.

Nagle zegar wybił ósmą godzinę. Pierwsze uderzenia młotka wyrwały mnie z moich marzeń. Zadrżałem; jakby oko niewidzialne przeniknęło najskrytsze tajniki moich myśli i wybiegłem z pokoju.

Oczy moje zatrzymały się na igle magnesowej. Nasz kierunek był ciągle północnym. Szybkomierz wskazywał bieg umiarkowany, manometr — głębokość stóp sześćdziesięciu. Okoliczności sprzyjały projektom Kanadyjczyka.

Wróciłem do mego pokoju. Ubrałem się ciepło: buty morskie, czapka wydrzana, kurtka z bisioru, podszyta skórą cielęcia morskiego. Byłem gotów. Czekałem. Tylko szelest drgającej śruby przerywał głębokie milczenie, panujące na pokładzie. Słuchałem, nadstawiałem uszu, czy nagłe krzyki nie ostrzegą mnie, że Ned-Land został schwytany na gorącym uczynku w wykonaniu projektów ucieczki? Ogarnął mię niepokój śmiertelny. Daremnie usiłowałem odzyskać zimną krew. Gdy już kilka jedynie minut brakowało do dziewiątej, przytkałem ucho do drzwi pokoju kapitana. Żadnego szelestu. Wyszedłem z mojego pokoju i powróciłem do salonu, który był pusty i pogrążony w półmroku. Otworzyłem drzwi do biblioteki. To samo światło przyćmione, ta sama samotność. Zbliżyłem się do drzwi, z których się wychodziło na schody środkowe i czekałem na sygnał Ned-Landa.

W tej chwili drgania śruby znacznie się zmniejszyły a potem zupełnie ustały. Dlaczego ta zmiana



... **Admirał kazał spalić i zatopić gilony...**

w ruchach »Nautilusa«? Nie wiedziałem, czy to powstrzymanie się w biegu miało sprzyjać, lub przeszkadzać zamiarom Ned-Landa.

Milczenie przerywało tylko bicie serca.

Nagle dało się uczuć lekkie uderzenie. Poznałem, że »Nautilus« osiadł na dnie oceanu. Niespokojność moja wzrosła. Kanadyjczyk nie dawał sygnału. Miałem już chęć pobiedz do Ned-Landa i wezwać, żeby na później odłożyć wykonanie swoich projektów, czułem, że nasza żegluga nie odbywała się już w zwyczajnych warunkach. W tej chwili drzwi wielkiego salonu otworzyły się i wszedł kapitan Nemo. Zobaczył mnie zaraz i bez żadnych wstępów rzekł uprzejmym tonem:

— A! panie profesorze, właśnie cię szukałem. Znasz pan dobrze historye hiszpańską?

— Zapomniałem już trochę — odpowiedziałem.

— Więc siadaj pan — dodał — a ja opowiem ci bardzo ciekawy ustęp z tej historyi.

Kapitan wyciągnął się na kanapie, a ja machinalnie usiadłem przy nim w półcieniu.

— Panie profesorze — odezwał się znów kapitan Nemo — jeśli pozwolisz, cofniemy się do r. 1702. Wiadomo panu, że w owym czasie król francuski, Ludwik XIV, narzucił Hiszpanom swego wnuka, księcia andegaweńskiego na króla. Książę ten, który licho panował pod imieniem Filipa V, musiał walczyć z silnymi nieprzyjaciółmi zewnętrznymi. Domy panujące w Holandyi, Austryi i Anglii zawarły traktat przymierza, w celu wydarcia korony hiszpańskiej Filipowi V i włożenia jej na głowę jednego z arcyksiążąt. Hiszpania musiała stawiać opór tej koalicyi. Była jednak prawie zupełnie pozbawioną żołnierzy i marynarzy. Szczęściem nie brakło jej pieniędzy, pod warunkiem wszakże, iż jej galiony*) wyładowane złotem i srebrem amerykańskiem, dopłyną do jej portów. Otóż pod koniec roku 1702 oczekiwała sutego dowozu, który Francya eskortowała flotą, złożoną z dwudziestu trzech okrętów. Transport ten miał zawinąć do Kadyksu, na południu Hiszpanii; admirał jednak, dowiedziawszy się, że flota angielska krąży na tamtych wodach, postanowił zawinąć do jednego z portów francuskich. Dowódcy hiszpańscy zaprotestowali przeciw temu postanowieniu i zażądali, żeby ich zaprowadzono do portu hiszpańskiego, jeżeli nie do Kadyksu, to do zatoki Vigo, leżącej na północno-zachodnim brzegu Hiszpanii i nie blokowanej.

Admirał usłuchał tego nieroztropnego żądania i galiony wpłynęły do zatoki Vigo. Na nieszczęście przystań w tej zatoce jest otwartą i nie może być bronioną. Wypadało przeto spiesznie znieść na ląd ładunki galionów przed przybyciem flot sprzymierzonych. Ale kupcy Kadyksu posiadali przywilej, na mocy którego do nich należało przyjmowanie wszystkich towarów, przybywających z Indyi zachodnich. W sprzeczności z tym przywilejem było wynoszenie w zatoce Vigo na ląd pieniędzy, przywiezionych na galionach. Zanieśli więc skargę do Madrytu i wyjednali u słabego Filipa V, że konwój, nie wynosząc na ląd swego ładunku, pozostawać będzie pod sekwestrem w zatoce Vigo, dopóki floty nieprzyjacielskie się nie oddalą.

Otóż właśnie, gdy zapadło to postanowienie, dnia 22 października 1702 r. okręty angielskie wpłynęły do zatogi Vigo. Admirał francuski, mimo słabsze swoje siły, mężnie walczył z przeważającym nieprzyjacielem; spostrzegłszy jednak, że skarby konwoju nieuchronnie wpadną w moc nieprzyjaciela,

*) Galionami nazywano ówczesne okręty z towarami.

kazał spalić i zatopić galiony, które też z niezmiernemi skarbami swemi zatonęły w morzu.

Kapitan Nemo umilkł. Przyznaję, iż nie wiedziałem jeszcze, z jakiego powodu miałaby mnie zajmować ta historya.

— Cóż dalej? — spytałem.

— To dalej, panie Aronnax, — odpowiedział kapitan Nemo — że jesteśmy teraz w zatoce Vigo, że jeśli pan chcesz, możesz poznać jej tajemnice.

I kapitan wstał i poprosił, żebym z nim poszedł. Miałem czas opamiętać się, idąc za kapitanem. W salonie było ciemno, ale przez szyby błyszczały fale morza. Spojrzałem z uwagą.

Dokoła »Nautilusa« w półmilowym promieniu wody zdawały się być zalane światłem elektrycznem. Widziałem najwyraźniej dno piasczyste. Marynarze osady okrętowej w ubraniach nurkowych czyli tak zwanych skafandrach, wypróżniali beczki napół przegniłe i rozbite skrzynie wśród czerniących jeszcze szczątków floty hiszpańskiej. Z tych skrzyń i beczułek sypały się sztaby złota i srebra i niezliczona liczba piastrów i klejnotów. Mnóstwo drogiego kruszcu leżało na dnie. Marynarze zbierali te łupy szacowne, przenosili do »Nautilusa« i znów powracali na te niewyczerpane łowy złota i srebra.

Teraz zrozumiałem. Tu była widownia bitwy 22 października 1702 r. W tem właśnie miejscu zatonęły galiony wyładowane na rachunek rządu hiszpańskiego. Tu kapitan Nemo w miarę swoich potrzeb zabierał miliony na pokład »Nautilusa«. Dla niego więc i tylko dla niego Ameryka dostarczyła tych kruszców szacownych. Był on bezpośrednim i wyłącznym dziedzicem owych skarbów.

— Cóż, panie profesorze — zapytał mnie z uśmiechem — czy wiedziałeś, że morze tyle bogactw zawiera?

— Wiedziałem, że obliczają do dwóch milionów beczek pieniędzy, pogrążonych pod wodami.

— Tak, lecz żeby wydobyć te pieniądze, trzebaby robić wydatki większe od spodziewanych korzyści. Tu przeciwnie, dość mi jest tylko podnieść to, co ludzie zgubili, i nietylko w zatoce Vigo, ale i w tysiącach miejsc, które były widownią rozbicia okrętów i na mojej mapie podmorskiej są starannie zanotowane. Teraz zapewne pan pojmuje, dlaczego jestem niezmiernie bogaty?

— Pojmuję. Pozwól mi jednak powiedzieć sobie, panie kapitanie, że tysiącom nieszczęśliwych bardzoby się przydały te bogactwa, stosownie rozdzielone, gdy teraz pozostaną nieużytecznemi.

— Nieużytecznemi! — powtórzył, zapalając się.— Więc sądzisz, mój panie, że bogactwa są stracone, dlatego, że ja je zabieram? Więc sądzisz, że dla siebie samego trudzę się gromadzeniem tych skarbów? Kto panu powiedział, że nie robię z nich dobrego użytku? Chyba ci się zdaje, że nie wiem, iż są na świecie istoty cierpiące, plemiona uciśnione; są biedacy, którym trzeba nieść ulgę, ofiary, które pomścić należy? Czy pan mnie nie rozumiesz?...

Kapitan Nemo nagle umilkł, może żałując, że za wiele powiedział. Ja zaś odgadłem go teraz. Jakiekolwiek pobudki skłoniły go do szukania niepodległości pod morzami, przedewszystkiem pozostał człowiekiem! Jego serce biło jeszcze dla cierpień ludzkości, jego miłosierdzie niewyczerpane wychodziło na pożytek, zarówno plemion ujarzmionych, jak jednostek ludzkich!

I zrozumiałem wówczas, dla kogo były przeznaczone owe miliony, wyprawione przez kapitana Nemo, gdy »Nautilus« płynął po wodach Krety, na której wrzało powstanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Tajne sprzysiężenie w Krakowie. Policya krakowska odkryła, że w Krakowie kilkudziesięciu młodych ludzi z Królestwa utworzyło tajny związek, mający na celu nibyto »niepodległość Polski« a właściwie mordowanie ludzi sobie niemiłych w Królestwie itp. zbrodnicze czyny. Okazało się, że ci »patryoci«, jak siebie nazywają, mają pomiędzy sobą zwykłych złodziei, bo u dwóch podczas rewizyi znaleziono pokradzione towary. Jeden znowu okazał się szpiegiem rosyjskiej policyi, który na to zapisał się do bandy, aby jej członków zdradzać. Ludzie ci nauczyli się rabowania i mordowania w Królestwie, a teraz przenieśli się po to samo do Krakowa. Już jednego zabili, mianowicie Trudnowski Rybaka, o czem pisaliśmy w *Roli*, ale więcej się im nie uda, bo u nas, dzięki Bogu, panują inne stosunki, niż pod Moskalem i nasze władze prędko pozbędą się takich patryotów. Aresztowana banda, w liczbie 12, nazywa siebie »frakcyą niepodległościową« stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Bezczelność żydowska. Wielkiej obrazy Ojca św. i Kościoła katolickiego dopuścił się teraźniejszy burmistrz miasta Rzymu, żyd, Nathan. Należy on do loży masońskiej i przy każdej okazyi pokazuje swe pazury wolnomularskie. Oto dnia 20 września przypadała 40 rocznica, odkąd Rzym najechany został przez wojska włoskie, które wydarły Stolicy św. dziedzictwo Piotrowe. Od tej chwili Ojciec św. stał się więźniem watykańskim. Na uczczenie tej rocznicy Nathan urządził zebranie, pospraszał władze cywilne i wojskowe i wygłosił mowę, w której naśmiewał się z nieomylności papieży. Pomiędzy innemi dowodził, że owa nieomylność tamuje wszelki postęp na świecie.

Ojciec św. wysłał przeciw temu szydercy na ręce ks. kardynała Respighiego uroczysty protest. W swem orędziu oświadcza Namiestnik Chrystusowy, że urzędnik publiczny nie zawahał się podnieść głosu, ażeby nauki św. wiary katolickiej, zastępcę Chrystusowego na ziemi i Kościół zohydzić i obrazić.

Nietylko katolickie, ale nawet liberalne gazety ogłosiły uroczysty protest przeciw słowom tego burmistrza żydowskiego. Wstydem to jest dla katolickiego narodu, jakim jest włoski, że pozwoli w stolicy chrześcijaństwa rządzić żydowi.

Socyaliści niemieccy odbywają corocznie wielki zjazd swoich delegatów. Co roku zjazd odbywa się w innem mieście. Ze względu, że socyaliści posiadają w parlamencie niemieckim i w sejmach poszczególnych państw niemieckich wielu posłów, a po całem państwie mają wiele towarzystw i dzienników, przeto każdy taki zjazd uchodzi za rzecz politycznie ważną. Stało się już corocznym zwyczajem tych zjazdów, że na każdym towarzysze, chlubiący się nibyto zgodnością i wspólnością, zrobią jakąś burzę i kłótnię. Tak się stało i tego roku na zjeździe, który się odbył w Magdeburgu. Poszło o to, że socyaliści w Badenii głosowali w swoim sejmie za budżetem, a inni socyaliści twierdzili, że żaden socyalista nie może tego czynić, gdyż to jest oznaką, że ma zaufanie do rządu a zaufania takiego socyaliście mieć nie wolno. Przez parę dni trwały spory i wyzywania na zjeździe, aż wreszcie uchwalono naganę dla socyalistów badeńskich. Ci obrazili się i opuścili salę, grożąc, że wystąpią z partyi. Wreszcie udało się po cichu spór załagodzić i Badeńczycy powrócili do swoich towarzyszy, ale okazało się jeszcze raz, że nie jest dobrze w tem stronnictwie, w którem panuje taka niezgoda w rzeczach zasadniczych, podstawowych.

KRONIKA.

Kalendarz „Roli“ na rok 1911 już jest na ukończeniu. Gdy tylko zostanie wydrukowany, damy go oprawić i ogłosimy jego treść. Kalendarz *Roli* otrzymają wszyscy ci, którzy nadeślą całoroczną prenumeratę na 1911 rok przed upływem bieżącego roku.

Wybory w grybowskiem. Namiestnictwo rozpisało nowe wybory do Rady powiatowej w powiecie grybowskim i wyznaczyło dzień wyboru dla grupy gmin miejskich na 8 listopada, dla grupy najwyżej opodatkowanych z kategoryi przemysłu i handlu na 9 listopada, dla grupy większych posiadłości na 10 listopada b. r.

Żywa pochodnia. Według nadesłanych nam wiadomości z Biliny wielkiej, koło Sambora, spalił się tam na polu w dniu 25 września, piekąc kartofle, mały chłopczyna, synek pięcioletni gospodarza tamtejszego Teodora Bilińskiego. Dzieciak przechylił się nad ogniem, ażeby się przekonać, czy ziemniaki się upiekły. Od ognia suchych drew zajęły się na chłopcu suknie i w mgnieniu oka objęły go płomienie. Przerażeni towarzysze chłopaka rzucili się do ucieczki, a nieszczęśliwy dzieciak wśród męczarni w kilka godzin zakończył życie. Rozpacz rodziców była ogromna. Jest to nauka dla innych, aby nie zostawiać dzieci bez opieki ludzi starszych.

Groźny pożar. Jak nam donoszą z Róży w powiecie pilznenskim, wybuchł tam 28 września groźny pożar, którego pastwą padły dwie stodoły wraz ze znajdującem się w nich zbożem i narzędziami rolniczemi, które nie były ubezpieczone. Szkoda wynosi do 2000 kor.

Pożar wybuchł z niewiadomej przyczyny i byłby bardzo groźny, gdyż wieś jest bardzo gęsto zabudowana, a gospodarstwa i domy słomą kryte, gdyby nie miejscowa straż pożarna z p. Kazimierzem Czerwcem, naczelnikiem straży, która w 10 minutach po wybuchu pożaru przybyła z trzema sikawkami i pożarowi nie dała się rozszerzyć.

Niemniejszą zasługę położyła i żandarmerya zasowska, która o 4 km. oddalona, już w 20 minutach po wybuchu pożaru wraz ze swoim komendantem stawiła się na ratunek. Przybyły też na pomoc straże pożarne z Borowy, Zasowa i Mokrego.

Napad krowy na żołnierzy. W ostatnim numerze *Roli* pisaliśmy o niezwykłym wypadku, że pod Tryestem krowa napadła na batalion piechoty i poturbowała kilku żołnierzy. Okazuje się, że wypadek ten widział przypadkiem jeden z malarzy, odrysował go i dał rysunek jednej z gazet wiedeńskich. Ten ciekawy obrazek podajemy tutaj.



Okazało się przytem, że wypadek miał większe rozmiary, niż pierwotnie podały dzienniki, z których my o tej sprawie się dowiedzieliśmy. Gdy tylko krowa wpadła pomiędzy szeregi, trębacz, człowiek śmiały a bardzo silny, chwycił ją za rogi i chciał zatrzymać, ale dzika krowa była silna i tak ugodziła go, że upadł na ziemię, z brzuchem rozprutym rogiem zwierzęcia. Rozwścieczona walką krowa rzuciła się na kilku najbliższych, pobodła ich i podeptała, — a wkońcu uderzyła w brzuch konia kapitana tak silnie, że mu wnętrzności wyszły, a oficer spadł z konia; upadając uderzył głową o mur tak mocno, że zalał się krwią i zemdlał. Wreszcie jeden z żołnierzy wystrzelił prosto w serce krowy i uśmiercił ją na miejscu; inaczej nie wiadomo, ilu jeszcze ludzi byłaby pokaleczyła. Ostatecznie okazało się, że życiem przypłacił ten wypadek jeden człowiek, ów śmiały trębacz, siedmiu żołnierzy jest ranionych a kapitan będzie chorował ze sześć tygodni wskutek wstrząśnienia mózgu.

Sekwestrator w lwiej klatce. Rzecz stała się na Węgrzech. Pewien właściciel cyrku wędrownego, z zawodu pogromca zwierząt, lubił pozostawiać na miejscach swych popisów na pamiątkę — długi. Nie podobało się to rzeźnikowi, który dostarczał żeru do jego menażeryi, więc zaskarżył go. Wydostać atoli należytość było trudno, gdyż właściciel często zmieniał miejsce pobytu. Wreszcie gdzieś w zapadłej miejscowości przydybał go sekwestrator. Widząc się zdybanym, pogromca ze złotym zegarkiem umknął do lwiej klatki, pewny, że sekwestrator tam mu da pokój. Ten atoli z zimną krwią wszedł za nim i dopiero wraz z nim klatkę opuścił, gdy ten przyrzekł, iż dług zapłaci. Przy szklance wina wydało się, iż sekwestrator był dawniej także pogromcą, więc nie bał się wejść do lwiej klatki.

Łatwowierność ukarana. Do pewnej kobiety, żony górnika w Królewskiej Hucie, na Ślązku, przybył człowiek nieznany, przedstawiając się jej jako krewny męża, którego nie było w domu. Kobiecina uwierzyła mu, chociaż wobec nieznanego człowieka przecież zawsze trzeba być ostrożnym. Powinna była odczekać przybycia męża, ale tego nie uczyniła, gdy ją krewny poprosił o 20 marek, które potrzebuje, ponieważ ma w banku zmienić za 500 marek pieniędzy amerykańskich. Nie pytała się nawet, jak owe pieniądze amerykańskie wyglądają. Nie powiedziała mu też, że kto ma pieniądze, czy amerykańskie, czy rosyjskie, czy austryackie, czy angielskie lub francuskie, a chociażby japońskie lub chińskie, ten nie powinien brać i pożyczać innych pieniędzy, bo bank nie żąda żadnego zadatku w pieniądzach krajowych, ale zmieni pieniądze, skoro się przekona, że są prawdziwe. Nowy krewny znikł z 20 markami.

Banda cyganów, składająca się z około 50 osób, napadła na pograniczu Królestwa Polskiego i Górnego Ślązka dwa dwory i splądrowała je. Podczas walki, która się z tego powodu wywiązała, padło 6 osób. Rabusie uwieźli zdobycz na trzech wozach, a mimo pogoni ze strony policyi i wojska, nie słychać, aby napastników ujęto. Tak zwykle bywa z policyą rosyjską, która często dzieli się ze zbrodniarzami zyskiem.

Ambicya złodziejska. Niejaki Stanisław Weyreuther z Gostynia, w Poznańskiem, Niemiec, w całych Niemczech dokonał tyle oszustw i kradzieży, że gdy go wreszcie schwytano i przeprowadzono śledztwo, ogółem skazano go na 54 lata więzienia, które to kary odsiaduje w więzieniu w Celle. Duma złodziejska jednakowoż nie pozwalała mu poprzestać, zanim nie osiągnął 100 lat, a więc sam z więzienia oskarżył siebie o jakieś nieznane jeszcze oszustwo. W wytoczonym mu procesie dociągnął do setki lat. Z tych 100 lat może odsiedzieć najwyżej 15 lat, gdyż według prawa niemieckiego wyżej karać za kradzieże nie wolno.

Pies policyjny okazuje się doskonałym postrachem na złodziei. W cegielni p. Frankowskiego w Pyszczynku pod Gnieznem zaginął pewnemu robotnikowi zegarek, niewątpliwie został skradziony. Dla wytropienia złodzieja postanowiono sprowadzić psa policyjnego, ale wystarczała już sama pogłoska o tem, bo zaraz potem zegarek się znalazł. Złodziej z obawy przed psem, położył zegarek na miejscu, z którego go ukradł.

Przyznał się na łożu śmierci. Przed 18 laty zamordowano w lesie pod Nakłem, w Poznańskiem, geometrę Matuszewskiego. Jako podejrzanego o zamordowanie aresztowano wówczas zięcia Matuszewskiego, zamieszkującego w Górzeniu, Jana Przemorskiego, lecz musiano go uwolnić z braku dostatecznych dowodów. Obecnie poczynił Przemorski na łożu śmierci straszne zeznanie, że on rzeczywiście zabił swego teścia, a żona, córka Matuszewskiego, pomogła mu zaciągnąć ciało do lasu. Widocznie sumienie ruszyło zbrodniarza.

Zabity na polowaniu, ale nie od strzału, został pewien polski włościanin śląski. W lasach księcia Birona odbywało się polowanie z nagonką. Nagle wpadła spłoszona sarna na naganiacza, który, uderzony jej rogami w brzuch, upadł bez przytomności. Zawieziono go do lazaretu w Sycowie, gdzie zmarł po trzech dniach. Nieszczęśliwy pozostawił wdowę i 13 dzieci, z których najmłodsze liczy półtora roku.

Geo Chavez, młody, dwudziestoletni lotnik, o którego zwycięzkiej wycieczce powietrznej ponad Alpy pisaliśmy w poprzednim numerze, przepłacił życiem swój odważny czyn. Kiedy spadł na ziemię w miasteczku Domodosola, zaraz zauważyli lekarze,



że ma złamane nogi, ale ponieważ mówił przytomnie i rozsądnie, sądzono, że życie uratuje. Aliści chorzał coraz bardziej, siły tracił, przytomność chwilami go opuszczała. Wtedy poznali lekarze, że musiał doznać silnego wstrząśnienia i że coś wewnątrz ciała jego ucierpiało od upadku. W chwilach przytomnych wołał, że jest młody, że żyć pragnie, nie umierać. Ale przecież okazał się dobrym katolikiem, nie takim niedowiarkiem jak bywają inni Francuzi lub Włosi, i prosił aby mu przyprowadzono księdza. Gdy przyszedł kapłan, wyspowiadał się przykładnie i przyjął ostatnie Sakramenta Święte na drogę wieczności. Potem coraz częściej zapadał w gorączkę, majaczył i wołał ciągle: »Co za wicher! Tu śmierć! Takiego wichru nikt nie wytrzyma!« Snać w gorączce zwidywało mu się to, co przeżył tam w górze, nad Alpami, podczas śmiertelnego lotu. Po pięciu dniach takiego pasowania ze śmiercią, uległ jej i dokonał życia. Zgon jego wywołał żal w całym świecie, ze wszystkich krajów ludzie zaczęli nadsyłać pieniądze na założenie pomnika dla odważnego a nieszczęśliwego młodzieńca. Jest on czternastym z rzędu lotnikiem, który znalazł śmierć. Ich imiona zostaną w pamięci historyi ludzkości, jako ludzi zasłużonych, gdyż pewnem już jest, że będziemy mogli niedługo latać zupełnie bezpiecznie przez powietrze, a zawdzięczać to będzie trzeba tym odważnym ludziom, którzy narażali swe życie dla wypróbowania maszyn latających.

Obrazek nasz przedstawia urwisty straszny wąwóz alpejski, ponad którym w strasznej wichurze leciał Chavez, mogąc każdej chwili rozbić się o skały.

Zwierzęciem w ludzkiej postaci okazał się pewien robotnik w majątku Fürstenwerder, w Brandenburgii. Gdy mu pewien kolega kosiarz obiecał 1 markę i litr wódki, jeżeli zabije jego żonę, zbrodniarz wepchnął nóż w piersi nieszczęśliwej kobiety, poczem obydwa zbiegli. Inni kosiarze znaleźli ofiarę tej ohydnej zbrodni w kałuży krwi, poczem oddano ją do kliniki chirurgicznej, gdzie leży ciężko chora.

Dzieci porwane przez małpę. Włościan pogranicznej wsi francuskiej Herseron, małżonków Pawła i Joannę Delavare, nawiedziła ciężka przygoda. Mieszkali oni w swoim domu pod lasem i jak zwykle poszli pewnego dnia do roboty, pozostawiając pod opieką siedmioletniej córeczki dwoje dzieci, jedno trzyletnie, drugie pięcioletnie. Dzień zapowiadał się skwarny, mimo że było to już we wrześniu, zatem kazali siedmioletniej córeczce, aby przedpołudniem ułożyła młodsze rodzeństwo na skraju lasu w cieniu do snu. To zrobiwszy, poszli na kopanie buraków. Przyszedłszy w południe do domu, zastali zalaną łzami dziewczynę, która opowiadała, że ułożyła małe dziecię do snu, jak rodzice przykazali i sama się zdrzemnęła. Gdy się zbudziła, nie zobaczyła dzieci przy sobie i mimo poszukiwań odnaleźć nie mogła. Rodzice wpadli w rozpacz i pobiegli do posterunku żandarmeryi. Ponieważ na dzień przedtem w okolicy kręciła się banda cygańska, żandarmi przypuszczali, że jej to może sprawka, gdyż wiadomo, że cyganie kradną dzieci, aby z nich mieć potem zarobek. Puszczono się w poszukiwanie bandy cygańskiej, znaleziono ją, ale okazało się, że podejrzenia były niesłuszne, że cyganie tych dzieci nie ukradli. Zrozpaczeni rodzice stracili nadzieję odzyskania dzieci.



Bóg czuwał jednak nad dziecinami. Odnalazł je w dziupli starego drzewa w środku lasu żandarm, który odbywał patrol graniczny. Nad dziećmi siedziała, szczerząc straszne zęby, wielka kosmata małpa. Był to orangutan, z największego i najsilniejszego, jak się okazało, gatunku małp, który uciekł przed kilkoma dniami z menażeryi wędrownej, która przybyła do pobliskiego miasta. Małpa, uciekłszy, tułała się po lasach i sadach, żywiąc owocami. Po drodze na swej włóczędze zobaczyła śpiące dzieci i wzięła dwoje małych, poczem skryła je w lesie i usadowiła w dziupli starej lipy. Żandarm celnym strzałem położył zwierzę, które mogło być bardzo niebezpieczne i zabrał dzieci do wsi, skąd odesłano je uszczęśliwionym rodzicom. Dzieci były osłabione z dwudniowego głodu, ale całkiem zdrowe i nieskaleczone. Widocznie małpa obchodziła się z niemi delikatnie. Szkoda, że są za małe, aby coś dokładniej opowiedzieć, bo mogłyby podać niejeden szczegół z życia zwierząt.

Wykłady w kryminale. We Francyi przekonano się, że bardzo wiele zbrodni popełnili ludzie, którzy nie są źli z natury, tylko pod wpływem chwilowego pijaństwa dopuścili się występku. Dla tych uchwalono, tak zwane, prawo Beranżera, polegające na tem, że skazany za jakąś winę, nie odsiaduje zaraz kary, tylko jej wykonanie odkłada sąd na pewien czas. Jeżeli nie popełni nic złego w życiu, aż do śmierci, to kara mu zostaje w ten sposób darowana. Natomiast jeżeli popełni coś złego po raz drugi, to zostaje znowu skazany, ale karę odbywa naraz i za pierwsze i za drugie przestępstwo. Jest to bardzo ludzkie prawo, gdyż pozwala każdemu poprawić się po pierwszym złym czynie. Ponieważ przekonano się, że ten pierwszy zły czyn bywa popełniany po większej części po pijanemu, zatem to prawo przyczynia się do szerzenia wstrzemięźliwości.

Jednakowoż bywają więźniowie, którzy są nałogowymi pijakami a zarazem nałogowymi zbrodniarzami. Całe swe życie spędzają po szynkach, a popełniwszy zbrodnię, dostają się do więzienia, aby znowu, z niego wyszedłszy, powrócić do szynku. I tak idzie kolejno, na zatracenie ich duszy i ciała. I tymi także zajął się pewien przyjaciel ludzkości, który chciałby uratować i takich upadłych ludzi od zguby. W tym celu znacznym kosztem kilkuset tysięcy koron pourządzał, za pozwoleniem ministra sprawiedliwości, sale wykładowe w kryminałach dla pijaków-zbrodniarzy. Wyglądają one tak, jak przedstawia nasz obrazek. Na jednej stronie sali stoi stolik i tam umieszcza się profesor, obok dozorca więzienny w mundurze, który przyprowadza i odprowadza więźniów. Ci umieszczeni są w klatkach, stojących jedna ponad drugą, a tak urządzonych, że każdy z nich widzieć może profesora, a nie może widzieć innych więźniów, ani z nimi rozmawiać. W ten sposób każdy zmuszony jest do uwagi.



Profesor wykłada o różnych pouczających rzeczach, najwięcej o szkodliwości pijaństwa, o tem jak jest zbudowane ciało ludzkie i co mu przynosi szkodę. Nauka o człowieku odbywa się na figurach drewnianych, przedstawiających ciało ludzkie.

Konno przez płomienie. Przed kilkoma tygodniami podaliśmy obszerniejszą wiadomość o olbrzymim pożarze lasów w zachodnich stanach Ameryki Północnej, który rozszerzawszy się na ogromnej przestrzeni, zniszczył kilkanaście bogatych miast, setki pięknych wsi i tysiące gospodarstw.

W okropnem położeniu znajdowało się miasto Wallace, w stanie Idaho, które w przeciągu godziny znalazło się otoczone ze wszystkich stron piekącym wałem płomieni. Gorąco stawało się z każdą chwilą coraz piekielniejsze, a ratunku nie było dla mieszkańców znikąd, gdyż od żaru stopniały druty telefoniczne i telegraficzne, łączące miasto z innemi osadami.

Wtedy zgłosił się dobrowolnie, na ochotnika, jeden ze służących hotelowych, nazwiskiem Jan Balke, że konno przejedzie przez płonący las i sprowadzi pomoc z pobliskiego miasta. Za tym przykładem, zachęcony odwagą towarzysza zgłosił się drugi służący z tego hotelu, 18-letni murzyn i oświadczył, że będzie towarzyszył koledze. Co przyrzekli, to wykonali. Wsiedli na konie, wzięli trzeciego konia na zapas i zapuścili się w ogarnięty płomieniami bardzo olbrzymi las. Wybierali oczywiście miejsca mniej gęsto zarośnięte drzewami, i tam jechali wolniej, aby koni oszczędzać. Tam, gdzie blizko siebie mieli wielkie drzewa stojące w ogniu, pędzili wcwał przez pnie i doły. Ale na jednym z wykrętów zabił się koń zapasowy, niedługo potem upadające ogromne drzewo ogniste obaliło starszego ze śmiałków.



Dzielny murzyn nie opuścił kolegi. Zeskoczył, wpakował nieprzytomnego na swego konia, sam wsiadł także i puścił się pędem z okropnego lasu. Ale niedługo i trzeci koń padł. Wtedy także murzyn nie o sobie tylko myślał, wziął Belkego na plecy i biegł z nim tak długo, aż się wydostał na wielką polanę, na której ogień już tak nie prażył. Tutaj znalazł go oddział ratowników z poblizkiego miasta, leżącego w nieprzytomności, skutkiem wyczerpania sił. Zabrano obu do miasta i umieszczono w szpitalu. Kiedy obaj opowiedzieli, po co rozpoczęli tę straszną drogę, ratownicy próbowali przedrzeć się przez lasy do Wallace, ale im się to nie udało i miasto zginęło ze wszystkimi prawie mieszkańcami.

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Karol Baron z P.).

Pierwsze z drugiem często zdobi karabele
Samo drugie — szkodnik — robi szkody wiele.
Trzecie jest literą ważną w alfabecie.
Całość, płaz niewinny, spotykany w lecie.

2. ZAGADKA.

(Nadesłał Franciszek Migdał z S.).

Czytaj mnie z tyłu, czytaj mnie z przodu —
Poznasz, że byłem klęską narodu!

3. ŁAMIGŁÓWKA.

(Nadesłał Piotr Grudek z B.).

Z poniżej wymienionych liter ułożyć imię i nazwisko sławnego na cały świat artysty-muzyka polskiego:
a, a, c, d, e, e, g, i, i, k, n, p, r, s, w, y.

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy jak zwykle oprawną książkę z obrazkami. — Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 15 października. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 39 *Roli:* 1. Szarada: **Natan**, 2. Szarada: **Tomasz**, 3. Zagadka: **Owce**, 4. Zagadka: **Moskale.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

I.
Żydek Natan z długą brodą
Kupił sobie owce młodą,
A chłop Tomasz mu ją wiedzie,
Bo żyd jeszcze kupił śledzie,
Które zowią się moskale,
Gdyż żyd innych nie chce wcale!...
Karol Baron z P.

2.

Nie wie może panna która w polskim rodzie,
Że piękne imię Anna od żydów pochodzi,
Czytane z tyłu, czytane z przodu
Nigdy w swoim stylu nie daje zawodu.
Święty Tomasz w zmartwychwstanie Jezusa nie wierzył
Dopóki świętych ran Jego swą ręką nie zmierzył,
Tak teraz nikt listu swego do *Roli* nie wniesie,
Gdy Tomasza świętego niema na adresie.
W zagadce **o** w **c**, gdy się dobrze schowa
Będą z tego owce, zwierzyna domowa.
Z nich to ludzie mają wełnę na odzienie
Mleko, mięso mają, jako pożywienie.
A w szaradzie — nieprawdaż czytelnicy mili
Są Moskale, którzy Polaków dręczyli.
Lecz Bóg sprawiedliwy kiedyś cud pokaże,
Ten naród złośliwy bardzo srogo skarze
Za braci naszych drogich, których pomęczyli,
Lub w kopalniach srogich sybirskich dręczyli.

Wincenty Cechowy z P.

3.

Imię Natan, czytane z tyłu lub z przodu,
Być musi imieniem żydowskiego rodu,
A sądzę, że przyzna mi to *Rola* nasza,
Która na ulicy świętego Tomasza
Mieszka, a ma z Nim tylko tyle wspólnego,
Że pracuje jak On dla dobra drugiego.
A że owce nas żywią i dają odzież,
Wiedzą o tem starzy, wie o tem i młodzież,
Bo jedni i drudzy z nich ubrania mają,
Które w zimie noszą, a w lecie chowają.
A prawdaż to prawda, że wściekli Moskale
Razem z Krzyżakami nie boją się wcale
Surowych sądów Boga sprawiedliwego,
Bo czynili i czynią bardzo dużo złego...
Bóg jeden wie tylko, ile krwi spłynęło,
Ile serc rozdartych rozpaczą jęknęło...
Lecz przyśle nam Pan Bóg ów dzień zmartwychwstania,
Kiedy to szumieć będą radości wołania.

Józef Kobylański z L.

4.

»Natan« imię żydowina,
Mieszkał w kraju: Palestyna.
»Tomasz« niewierny był też żydem,
Lecz bardzo się okrył wstydem,
Bo w zmartychwstanie Chrystysa
Wierzyła już każda dusza.
A on był tyle uparty,
Aż włożył palec w bok otwarty.
Potem przybył do Krakowa
Na ulicę Kleparowa,
Tam dziś Redakcya *Roli*
Pracuje dla lepszej doli.
A w Redakcyi wielka praca,
Która nam rozum wzbogaca
Obfitemi wiadomości —
Można mówić bez sprzeczności!
Oby ją wszyscy poznali
I wnet zaprenumerowali.
Mądrzejsiby wtedy byli
I »Moskali« zwyciężyli,
Którzy na Polskę napadli
I Ojczyznę nam ukradli.

Jan Łojek z R.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Piotr Grudek z B., Jan Śliwiński z B., N. N. z Krakowa, Józef Maślanka z R., Wacław Tomaszewski z P., Józef Gąsior z S., Tadeusz Stypa z T., Franciszka Andrusikiewicz z D., Fr. Migdał z S., Józefa Hirszberg z K., Michał Dudek z Ż., Adela Bezokówna z K. m., Jakób Paff z Ch., Józef Krukurka z K., Władysław Ćwieka z T., Antoni Kowalczyk z K.

* * *

Nagrodę p. t. ***Wiązanka powieści*** wylosował p. **Antoni Kowalczyk** z K.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP. Maciej Wilk w S.: Kalendarz *Roli* już w druku — wkrótce podamy bliższe szczegóły. — Jakób Paff w Ch.: Choć zagadki, zdaniem pańskiem, załatwe a i tak nie wszyscy dobrze rozwiązują, — Józef Starzyk w J.: Za zjednanie prenumeratora dziękujemy. Wysłaliśmy na okaz z czekiem — resztę po otrzymaniu prenumeraty. — Władysława Tatarzanka w K.: Myśleliśmy, że Pani o nas zupełnie zapomniała. Dziękujemy. — Julian Kościcki w P.: Jużeśmy to pisali, że nagrodę los wyznacza. Cóż my winni, że wyznaczy ją jednemu dwa razy w roku, a innemu ani razu. A jakby los spłatał takiego figla i jednemu przez kilka tygodni z rzędu wyznaczał, to co?... — N. N. w Krakowie: Cieszy nas, że obrazki w *Roli* podobają się, ale też nic dziwnego, bo zgrabne »łapki« je rysują. — Antoni Maziarz w S.: *Rola* w przyszłym roku będzie jeszcze o wiele ciekawszą, gdyż redaktorzy nabrali w tym roku doświadczenia, które w przyszłym zużytkują. — Robert Rydz w T.: Wierszyk dobry, umieścimy go wkrótce. — Józef Krukurka w K.: Numera na okaz wysłaliśmy. Za popieranie naszej pracy serdecznie dziękujemy.

W dalszym ciągu prenumeratę nadeslali PP.: Głuc Jan z B. (4 K.), Ks. Wł. Staich z P. 1 K.), Łopatka Jan z J. 1 K.), Gleń Jan z Cz. (2 K.), Regina Uryżyna z J. (2 K.), Jan Konieczny z P. (1 K.), A. Łuszczyński z J. (1·20 K.), Wacław Mazur z Z. (1 K.) Jan Zagórski z Ch. (1 K.).

Z powodu świąt żydowskich
targ na zboże, bydło i trzodę
jest zamknięty.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.





ZMĄDRZAŁA:

— Bójcie się Boga! 4 korony żądacie za tę kaczkę? przecież przed miesiącem płaciłam wam po 2 korony.

— Ano, mówią państwo, że chłop zawżdy głupi, więc ja teraz krzynkę zmądrzałam.

Wierzyciel: Zgłaszać się będę co tydzień do was po moją należytość dopóty, dopóki jej nie dostanę.

Dłużnik (uprzejmie): W takim razie nasza znajomość zamieni się w dozgonną przyjaźń.

U PROBOSZCZA.

— Nie przeczę, że w metrykach musicie być zapisani, ale, aby znaleźć daty muszę wiedzieć czas waszego urodzenia.

— Toli, mój jegomościnku, urodziłam się akurat podczas okopowania zimnioków.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.